TYGODNIK POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STR., CHICAGO ILL.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI·
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie.................................... $1.00.
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej, Azyi, Afryki i Australii........ $1.50.
PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 16. Chicago, Ill., Czwartek, 21-go Kwietnia, 1898. Rok XII.

Książę Srebrny.

POWIEŚĆ Z CZASÓW IWANA GROŹNEGO

HR. TOŁSTOJA.

(Z rosyjskiego przełożył W. Grajnert).

(Ciąg dalszy).

— Czarownikiem! — spytał z zdziwieniem, omal nie z gniewem — a któż tutaj czaruje?

— A choćby twój Weziemskij!—mówił dalej Basmanow, nie spuszczając oczu przed carskim wzrokiem, ani lękając się groźnego carskiego lica — widać ty jeden chyba nie wiesz o tem, że kniaź, ile razy jest pod Moskwą, zawsze zajeżdża do boru do młyna czarować, a po co czarować, jak nie po to, by opętać twą carską miłość!

— A ty zkąd wiesz o tem? — spytał car, przeszywając Basmanowa bystrem okiem.

Tu Basmanow nieco stchórzył.

— Przecieć ja, carze, wczoraj tylko usłyszałem o tem od własnych jego chłopów —odpowiedział prędko — gdybym wcześniej słyszał—byłbym doniósł twej carskiej miłości.

Car się zamyślił.

— Idź,—rzekł po chwili — ja tę sprawę rozpatrzę; a ze Słobody nie odjeżdżaj bez mojego zezwolenia.

Basmanow odszedł zadowolony, że zdołał rzucić iskrę w podejrzliwe serce Jana na jednego z swoich rywali, lecz bardzo zakłopotany oziębłością cara.

Wkrótce potem Iwan Wasiljewicz wszedł do posłuchajnej sali, i siadł na fotelu, przez opryczników otoczonym.

Przychodzili doń po kolei bojarzy z Moskwy i innych miast. Car uradzał się

z nimi nad sprawami państwa, dał każdemu stosowne rozporządzenie i w końcu spytał, czy nie ma jeszcze kogo proszącego o przesłuchanie.

— Bojarzyn Drużyna Andreicz Morozow—rzekł kamerdyner—bije czołem twojej carskiej miłości, prosi, żebyś go dopuścił przed twoje jasne oczy.

— Morozow? to się nie spalił podczas pożaru? żyje stary pies? Cóż! zdjąłem z niego opałę, niech wejdzie.

Dworacy się rozstąpili i Drużyna Andreicz w towarzystwie dwóch znajomych podszedł do cara i padł przed nim na kolana. Wszystkie oczy zwrócone były na starego bojarzyna Wspaniałym był, jak zawsze. Twarz miał bladą; na czole szramę od szabli Wiaziemskiego. Wpadnięte oczy i ściągnięte brwi pokazywały dawną siłę woli. Ubranie miał ciche.

Jan patrzył na Morozowa w milczeniu. Kto umiał czytać z carskiego wzroku, wyczytałby teraz ukrytą nienawiść i radość z widoku poniżonego swego wroga; ale dla pobieżnego badacza twarz Jana mogła się wydać litościwą.

— Drużyno Andreiczu—rzekł poważnie car—zdjąłem z ciebie opałę, dla czegoż jesteś w cichem ubraniu?

— Carze—odpowiedział Morozow, klęcząc ciągle—nie może ubierać się w aksamitny ten, komu dom spalili twoi opróżnicy, i uprowadzili żonę przemocą. Carze—mówił dalej stanowczym głosem—bię ci czołem na oręźnego twego Ałońkę Wiaziemskiego!

— Wstań i opowiedz wszystko, jak było. Jeżeli który z moich cię obraził, nie daruję mu, choćby mi był najbliższym krewnym.

— Carze—rzekł Morozow, nie wstając—każ zawołać Afońkę, niech przy mnie odpowiada twej carskiej miłości.

Iwan Wasiljewicz trochę się namyślał.

— Prawda ozwał się wkrótce - dzielnie mówisz. Zawołać Wiaziemskiego! A wy—dodał do towarzyszy Drużyny, którzy stali z uszanowaniem na boku - podnieście swojego bojarzyna i posadźcie na ławkę, niechaj czeka na Afońkę.

Od napadu na dom Morozowa, upłynęło więcej już niż dwa miesiące. Wiaziemskij wygoił się z ran. Żył jak dawniej w Słobodzie. Nic wiedząc nic o losie Heleny której żaden z jego posłańców odnaleźć nie mógł, ogromnie sposępniał, rzadko przychodził na carski dwór. wymawiając się słabością, nie brał udziału w ucztach—tak, iż wielu nawet myślało, że ma początek pomięszania zmysłów.

Janowi się nie podobało takie postępowanie Wiaziemskiego, lecz wiedząc o niedoszłem porwaniu bojarki, myślał że temu wszystkiemu winny męki miłosne, i był dlań pobłażliwym. Zaś dopiero po rozmowie z Basmanowem, zachowanie się księcia wydało mu się podejrzliwem. Car kontent był ze skargi Morozowa, bo oczne stawiennictwo pozwalało mu wiele się dowiedzieć, i dla tego przyjął bojarzyna lepiej, niż oczekiwali dworacy.

Wkrótce przyszedł i Wiaziemskij. Znacznie się zmienił; postarzał o jakie kilka lat; rysy miał wybitniejsze, a życie gorzało mu jeno w ognistych i niespokojnych oczach.

— Chodź tutaj bliżej Afonio — rzekł car — chodź i ty, Drużyno, mów, co masz mówić, tylko otwarcie od samego początku.

– Czy tak było? – spytał car, zwracając się ku Wiaziemskiemu.

— Tak — odpowiedział Wiaziemskij, zdziwiony pytaniem Jana, który już dawno wiedział o wszystkiem.

Zachmurzyła się twarz Iwana Wasiliewicza.

— Jakeś śmiał odważyć się na coś podobnego? — rzekł i utkwił srogie spojrzenie w Wiaziemskim — czy pozwalam, aby moi oprycznicy rozbijali?

— Ty wiesz, carze – odrzekł Wiaziemskij, więcej jeszcze zdziwiony — że napadnięto na dom nie z mojego rozkazu, a na uprowadzenie bojarki miałem twoje zezwolenie.

— Moje zezwolenie! — powtórzył car wolno wymawiając każde słowo. — Kiedyż to ja ci zezwoliłem?

Teraz dopiero poznał Wiaziemskij, że naprózno chciał się powołać na bajkę, którą mu opowiadał Jan podczas uczty. Jeszcze mocniej zdziwiony, dla czego car udaje, że o niczem nie wie, zrozumiał jednak

że, że trzeba zmienić rodzaj obrony. Nie czynił tego z bojaźni lub w celu uchronienia swego życia, które przy zmiennym charakterze Jana było w niebezpieczeństwie, ale dla tego że nie stracił jeszcze nadziei na znalezienie Heleny.

— Carze — powiedział — zawiniłem przed tobą; tyś mi nie pozwolił uprowadzić bojarkę. Oto jak było: Posłałeś mię do Moskwy, żebym zdjął opałę z bojarzyna Morozowa, który, jak wiesz, oddawna nienawidzi mnie za to, żem jeszcze przed ślubem znał się z jego żoną. Gdym przybył doń, razem ze Srebrnym chciał mię utłuc. Po obiedzie napadli na nas zdradziecko z chłopami. Stawiliśmy opór, a bojarka Morozowa, znając zaciętość mężowską, prosiła bym ją zabrał z sobą. Z własnej woli go porzuciła. A gdym w lesie od ran stracił przytomność — i dotąd nie wiem, co się z nią stało, znalazł ją, widać bojarzyn i trzyma gdzieś w zamknięciu, a może i z świata zgładził. Nie on przeto powinien na mnie się skarżyć — mówił dalej Wiaziemskij, zmierzywszy od stóp do głów Morozowa. — Ja sam, carze, biję czołem twej miłości na Morozowa, co napadł mnie w swym domu z Nikitą Srebrnym.

Car nie oczekiwał takiego zwrotu. Potwarz Wiaziemskiego była widoczną, ale Jan miał w tem wyrachowanie, udając, że wierzy księciu.

Morozow pierwszy raz dopiero spojrzał na swego wroga.

— Łżesz, podły psie! — rzekł pogardliwie — każde twe słowo jest podłem kłamstwem; a ja gotów jestem przysięgać, całować krzyż, że prawdę mówię. Carze, każ temu opętańcowi oddać mi żonę, z którą zaślubion jestem według zwyczaju chrześciańskiego.

Jan rzucił spojrzenie na Wiaziemskiego.

— A ty co powiesz na to? — spytał z sędziowską chłodną krwią.

— Już ci mówiłem, carze, żem uprowadził bojarkę na jej usilne prośby, gdy zaś w drodze osłabłem, bo mi uszła krew, chłopi moi znaleźli mnie w lesie nieprzytomnego. Ani konia ani bojarki nie było. Przenieśli mnie na młyn do znahora, który zażegnał krew. Więcej nie wiem nic.

Wiaziemskij się nie spodziewał, że wspominając o młynie, nada prawdopodobieństwo plotkom Basmanowa, lecz Jan nie dał poznać po sobie, że na tę okoliczność zwraca jakąkolwiek uwagę; zapisał ją sobie w pamięci, na wszelki wypadek, a do czasu ukrył swe myśli pod sędziowską powagą.

— Słyszałeś? — ozwał się do Wiaziemskiego — bojarzyn Drużyna Andrejewicz będzie całował krzyż.

— Bojarzyn może mówić co chce — odpowiedział Wiaziemskij, postanowiwszy bronić się do upadłego — może mnie obmawiać, ale ja dopominam się o karę na niego za rozbój, i sam będę przysięgał.

Po zebraniu przeleciał głuchy szmer. Wszyscy opryczniсy wiedzieli w jaki sposób napadniętym został Morozow, i choć sami byli zakorzeniałymi zbrodniarzami nie każdy jednak z nich odważyłby się krzywoprzysiągnąć.

Nawet Jan zdumiał przy bezczelności Wiaziemskiego, lecz w tej chwili przyszło mu na myśl, że przez nią może zgładzić wrażego bojarzyna, zachowując całą sędziowską sprawiedliwość.

— Bracia — rzekł car, zwracając się do oprycznіków — biorę was na świadki, żem chciał się dowiedzieć prawdy. Nie zwykłem sądzić, nie wysłuchawszy obu stron. Ale na jedno i to samo dwaj przeciwnicy krzyża całować nie mogą. Jeden krzywoprzysięże. Ja zaś, jako dobry pasterz, broniący owce swoje, nikomu nie chcę zezwolić na potępienie własnej duszy. Niech więc Morozow i Wiaziemskij będą sądzeni Sądem Bożym. Od dziś za dziesięć dni przeznaczam dla nich pole, tutaj w Słobodzie, na Czerwonym placu. Niech przyjdą z świadkami i sekundantami. Kto zwycięży — po tego stronie prawda, a kto zostanie pokonanym — ten jest potwarcą, i choćby żył nawet, na tem samem miejscu polegnie z rąk kata.

Wyrok Jana dziwne wywarł wrażenie na obecnych. Pewni byli, że jest to wyrok śmierci na Morozowa. Nie można się było spodziewać, żeby stary bojarzyn oparł się Wiaziemskiemu. Każdy myślał, że Moro-

zow wymówi się od pojedynku, lub, co najmniej, poprosi aby mu pozwolono za siebie postawić najemnika. Ale dumny bojarzyn skłonił się carowi i rzekł głosem spokojnym:

- Carze, niech będzie według słów twoich! Stary jestem i Słaby; dawno już oręża w ręku nie miałem, lecz w Sądzie Bożym nie siła bierze górę, jeno prawość. Ufam w pomoc Pana. Nie opuści On sługę swego, i pokaże przed twemi oczami i przed wszystkimi ludźmi fałsz mego wroga.

Wiaziemskij, gdy usłyszał carski wyrok, ucieszył się z początku i w oczach zabłysła mu nadzieja, lecz pewność siebie Morozowa nieco go zastanowiła. Według powszechnego mniemania, na sądnym pojedynku, z woli boskiej zawsze zwycięża prawa strona; i to wielce księcia zmięszało, skłonił się jednak carowi i odpowiedział to samo, co i bojarzyn.

— Niech się stanie tak, jak chcesz.

— Teraz idźcie — rzekł Jan — a za 10 dni, macie być obadwaj o wschodzie słońca na Czerwonym placu, i biada temu, kto nie wytrzyma pojedynku.

Car, rzuciwszy dziwnie i znacząco okiem na obudwóch przeciwników, udał się do komnat.

Morozow, pełen godności, wyszedł z sali z dwoma bojarami nie zwracając uwagi na otaczających go oprycników.

XXX.
Zażegnanie żelaza.

Następnego dnia Wiaziemskij pojechał ku Moskwie. Dawniej w pojedynku ufał tylko swej sile i zręczności lecz teraz szło o Helenę. I pojedynek był nie zwyczajny, a jak się zakończy, zależało to od sądu boskiego. Kniaź wiedział po czyjej stronie jest prawda, i choćby w innej bójce nic sobie z Morozowa nie robił, teraz jednak bał się gniewu niebios. — W strachu był, by mu podczas walki nie odpadły lub nie zdrętwiały ręce. Obawa była tem słuszniejszą, bo niedawno zagojone rany jeszcze mu sprawiały ból, tak, że czuł czasami słabość i wycieńczenie. Książę nic nie chciał pominąć, by zapewnić zwycięztwo po swej stronie; postanowił przeto udać się do znajomego młynarza, wziąść od niego jakiego ziela, i za pomocą czarów uczynić swe ciosy śmiertelnemi.

Zachmurzony i zadumany jechał krokiem przez las, schylając się kiedy niekiedy do siodła, by rozpoznać ścieżki zarośnięte paprocią. A gdy natrafił na znaną mu drogę, puścił konia w kłus. Niedługo usłyszał szum koła. Podjeżdżając bliżej do młyna, książę mógł rozróżnić jakieś ludzkie głosy. Stanął, zsiadł z siodła, przywiązał konia do drzewa, i szedł dalej pieszo.

U samego zrębu stał czyjś koń w bogatym rynsztunku. Młynarz rozmawiał z zgrabnym jeźdzcem, którego twarzy Wiaziemskij nie mógł dojrzeć, bo nieznajomy obrócił się tyłem do niego, chcąc wskoczyć na siodło.

— Będziesz zadowolonym, bojarze — mówił doń młynarz, na potwierdzenie kiwając głową — będziesz zadowolony, batiuszka, car cię umiłuje, jak dawniej, i niech mnie piorun spali tutaj na miejscu, jeżeli nie zginie Wiaziemskij i wszyscy twoi przeciwnicy! Bądź spokojnym, na to tyrlicz trawa.

— Dobrze — odpowiedział jeździec, siadając na koń — pamiętaj stary djable naszą umowę; jeśli mi się nie uda, powieszę cię jak psa.

Głos wydawał się Wiaziemskiemu znajomym, ale czyj mianowicie był? — nie mógł się upewnić, bo koło bardzo huczało.

— Choćby ci się nie udało od pierwszego razu — mówił dalej młynarz, kłaniając się nizko — to nie zdejmuj z szyi tyrlicza; a gdy będziesz rozmawiał z carem, patrz mu prosto i śmiało w oczy, mów żarciki i dowcipki, a jestem anatemą, jeśli znów nie wpadniesz w dawne łaski!

Jeździec przejechał kłusem koło Wiaziemskiego, którego nawet nie zauważył. Kniaź poznał Basmanowa, i wnet zazdrość zrodziła się w jego sercu. Zajęty myślami jedynie o Helenie, nie zwrócił uwagi na słowa młynarza, usłyszawszy jeno swe nazwisko, pewien był, że w Basmanowie widzi nowego rywala.

(Ciąg dalszy nastąpi).

CZARNA PLAMA.

POWIEŚĆ Z CZASÓW NIEMIECKIEJ GRYNDERKI.

(Dokończenie.)

Nie mogła dokończyć, bo przerwał jej głośny krzyk córki. Marta ujrzała leżący na ziemi papier i podniosła go. Bez uwagi spojrzała na pismo, ale nagle stanęła, jakoby piorunem rażona — poznała pismo ojca.

"Ach Boże! — rewers, rewers!"

Nie odpowiadając zadziwionej matce, pociągnęła tak gwałtownie za dzwonek, że sznurek się zerwał.

"Marto, co ci się stało! Czyś oszalała?" zawołała pani Kirstner przestraszona.

W tej chwili weszła Zofia zaniepokojona; głośno zakrzykła, gdy ujrzała fatalne pismo w rękach swej pani, i z płaczem upadła jej do nóg.

"To widoczny palec Boży, że tu ten papier zgubiłam! Bądź pani litościwą, wielmożna panno; ja wszystko, wszystko wyznam, tylko nie oddawaj nas pani w ręce policyi!"

"Mów prawdę, dziewucho, nie zataj nic! Skąd masz ten rewers?" zapytała Marta zaledwie panując nad sobą.

— Brat mój Ludwik dał się skusić; obiecano; nam wiele pieniędzy, gdybyśmy drzwi od podwórza zostawili otwarte. Zrobiliśmy tak; ale złodzieje wiele nie zabrali — nam dali tylko pięćdziesiąt talarów; niektóre papiery, nie mające dla nas żadnej wartości, ja schowałam. Ten rewers, który tylko pobieżnie przeczytałam znajdował się pomiędzy papierami. Dziś wieczorem byłam w bocznym pokoju, gdy państwo ze sobą rozmawialiście; rozmowa zaciekawiła mię mocno, a gdy wielmożny pan drzwi otworzył, aby się przekonać, czy nikt nie słucha, schowałam się za szafę, — słyszałam wszystko!

Z wstydu, że honor domu spoczywa w rękach służącej, zakryła pani Kirstner twarz w dłonie. Blada twarz Marty była nieporuszona.

— Teraz dopiero, gdy się dowiedziałam, jakie ten rewers ma znaczenie, — ciągnęła Zosia po chwili z płaczem dalej, — przypomniałam sobie, że on w moich jest rękach; pobiegłam po niego i chciałam z nim iść do brata, aby z nim się naradzić, za jaką sumę ten rewers sprzedać panu Kirstnerowi — naturalnie powiedzielibyśmy, żeśmy ten papier znaleźli. Pan Bóg inaczej zrządził, — tu mi ten papier niezawodnie wypadł.

Dziewczyna zamilkła; Marta stała przed nią zamyślona, a tylko oddech gwałtowny zdradził jej wewnętrzne wzburzenie.

— Widzę, Zofio, — rzekła po chwili, — że jeszcze nie zupełnie jesteś zepsutą. Dobrze więc, przebaczam ci, nietylko tobie, ale i twemu bratu; co więcej, zapłacę ci sto talarów za ten rewers, ale pod tym warunkiem, że ojciec mój nigdy się nie dowie, w czyjem ręku był ten rewers, i że ani bratu swemu, ani w ogóle nikomu słówka o tem nie piśniesz! A teraz idź i przyślij mi tu Augustyna.

Z płaczem ucałowała Zosia rękę swej pani i wyszła.

Zaledwie drzwi się za nią zawarły, gdy pani Kirstner przypadła do córki i rękę wyciągnęła po złowrogi rewers.

— Dawaj, dawaj, zawołała z pospiechem, abym ten nieszczęsny papier podarła i zniszczyła; niech ja zniweczę tę zmorę, która ustawicznie zagraża pokojowi naszego domu.

Ale z niezwykłą stanowczością cofnęła się Marta i papier zatrzymała.

— Nie będzie już tej zmory, matko! Nie napróżno Opatrzność dała mi ten rewers w rękę; będzie on dla nas źródłem pokoju i błogosławieństwa. Tym papierem przywrócę ojcu memu spokój i ulżę ciężarowi jego sumienia.

Wejście służącego przerwało rozmowę.

— Wielmożna panna kazała — —

— Czy ten pan major, który niedawno temu przybył, jeszcze jest u ojca?

— Pan Kirstner z panem majorem co dopiero odjechali. Kazali zajechać do starego Gerharda. Pan major mówił przy wsiadaniu: Daj Boże, abyśmy go jeszcze zastali przy życiu!

Na twarzy Marty malowało się głębokie wzruszenie; nagle przyszła jej myśl dobra.

— Niech powóz zajedzie — natychmiast!

Służący odszedł. Z febrycznym pospiechem uzupełniała Marta swe ubranie.

— Na Boga, Marto, co chcesz czynić? zawołała pani Kirstner. Powinnaś się cieszyć i radować z naszego szczęścia: rewers w naszych rękach, a stary Gerhard umiera!

— On nie ma umrzeć z przekleństwem na ustach, ojciec nie ma nosić brzemienia tej klątwy; pojadę do Gerharda i naprawię tę krzywdę, którą mu ojciec w słabej chwili wyrządził!

— Ty chcesz do Gerharda pojechać? Chcesz mu wręczyć rewers? Nieszczęsna! Czy nie wiesz, że przez to całą naszą rodzinę zrobisz nieszczęśliwą? Ja cię nie wypuszczę z pokoju!

— Nie bój się, matko! Dosyć nam zostanie majątku, nawet gdy wszystkich innych jeszcze wierzycieli zaspokoimy. Umierający przebaczy ojcu, a i Emil Gerhard jest szlachetny.

— Ty jednakowoż zostaniesz, krzyknęła pani Kirstner, odchodząc niemal od przytomności, ja ci rozkazuję, ja — —

— Powóz zajechał, proszę wielmożnej panny, oznajmił służący.

Marta przeleciała obok matki, w jednej chwili była na dole, wskoczyła do powozu i zawołała na woźnicę, dokąd ma pojechać. W kilka minut powóz daleko już był od domu w którym pozostała matka, pieniąca się od złości na nieposłuszną córkę i załamująca ręce w rozpaczy.

* *

Przy łóżku ojca siedział Emil Gerhard, zaniepokojony wzrok mając zwrócony na chorego. Stary Gerhard bliskim był śmierci. Już śmierć wycisnęła na twarzy jego swe piętno, ale nie mroźnem swem tchnieniem, które ścina życie w kwiecie wieku, lecz łagodnym powiewem, który gładzi na obliczu zmarszczki, wyorane długiem cierpieniem ciała i duszy. Starzec ściskał ręką dłoń syna, a wzrok jego z niecierpliwem oczekiwaniem zwrócony był ku drzwiom.

— On przyjdzie, ojcze kochany, przyjdzie z pewnością. uspokój się tylko! pocieszał Emil chorego, przytłumiając swą żałość.

Od rana odzyskał chory mowę, którą od owej chwili w biórze bankiera był utracił; wymawiał jednakże pojedyńcze słowa tylko z trudnością.

— Nie smuć się, rzekł do syna: życie było mi ciężarem tylko. Kilka tylko słów pomówić chcę z Kirstnerem, a potem chętnie umrę.

Cicho otworzyły się drzwi. Naprzód wszedł major, a za nim stanął w progu nieśmiało i trwożliwie Bogumił Kirstner. Twarz umierającego rozpromieniła się w radości.

Gerhard skinął na bankiera, aby przystąpił bliżej, a na widok łagodnego oblicza umierającego starca, stopniały lody, któremi bankier swe serce otoczył. Bez namysłu przystąpił do łoża umierającego i chwytając jego rękę, rzekł wzruszony:

— Biedny przyjacielu; wszystko niech będzie zapomniane! Powiedz, co mam uczynić.

Starzec skinął na syna — Emil z majorem wyszli w milczeniu.

— Dzięki, żeś pan przyszedł, rzekł Gerhard słabym głosem. Chwile moje policzone, panie Kirstner. Pan Bóg pozwolił mi odzyskać mowę, abym panu wyjawił tajemnicę. Możesz pan naprawić tę krzywdę, którąś nam wyrządził. Emil, syn mój, kocha córkę pańską. Od czasu, gdy zostałem tknięty paraliżem, zamknął tę miłość w głębi swego serca; nie zdradził się słowem, tylko oko jego zasmucone świadczyło o boleści duszy. Panie Kirstner, daj mi pan słowo, że szczęście dzieci naszych naprawi to, co ojcowie cierpieli; bo znam pana aż nadto dobrze: — co pan uczyniłeś, mogło było być tylko skutkiem największej rozpaczy — nie mogłem pana przeklinać.

Bankier nie taił łzy, która się mu po licu potoczyła.

— Gerhardzie, rzekł cicho drżącym głosem, bądź spokojny. Syna swego los oddaj

w moje ręce; będzie on szczęśliwym, chociażby nawet — —

— Chociażby nawet? zapytał drżącym głosem Gerhard.

— Chociażby nawet dzieci nasze pobrać się nie miały, tłumaczył bankier jeszcze ciszej. Znasz pan świat; różnie by ten związek sobie tłómaczono, posądzanoby mię, że tem małżeństwem okupiłem — — ale ja syna pańskiego zrobię bogatym, ja — —

Umierający podniósł się w łóżku.

— Nie chcę dobrodziejstwa! zawołał silnym dosyć głosem: syn mój miałby przyjmować dobrodziejstwa od mordercy ojca: Bo to twoja ofiara. Bogumile, twoja ofiara, która tu przed tobą umiera!

Gwar w przyległym pokoju przerwał jego słowa. Za chwilę rozwarły się drzwi i Marta wpadła do pokoju, a za nią w najwyższym stopniu zadziwieni major i Emil.

Bankier zerwał się.

— Marto, ty tu — o tej godzinie?

Dziewczę, nie odpowiadając ojcu, zbliżyło się do łoża chorego.

— Panie Gerhard, rzekła Marta, przychodzę do pana w imieniu człowieka skruszonego, który chętnieby naprawił to, co zrobił złego. Opatrzność Boża oddała ten rewers w moje ręce. Panu, który spodziewasz się miłosierdzia od sędziego odwiecznego, panu oddaję ten rewers, i odzywam się do pana, tak jak codziennie mówimy do Ojca niebieskiego: Odpuść nam nasze winy!

Oko umierającego zabłysło radością, podczas gdy bankier zakrył twarz rękoma.

Marto, na Boga coś zrobiła? Skąd masz ten papier? rzekł po chwili głuchym głosem.

— Pomyśl sobie, ojcze, że Pan Bóg sam tak zarządził; wybacz mi ojcze, ale nie mogłam inaczej postąpić.

— I dobrześ zrobiła, Marto, dziecię moje! Teraz dopiero swobodnie oddycham po raz pierwszy od dawnego, dawnego czasu! Bogu dzięki, że się tak stało, niech się dzieje, co chce!

Umierający przeczytał papier z pomocą majora, ale siły duszy zanadto były wyczerpnięte; twarz jego stawała się coraz bledszą, wzrok coraz więcej zamglony.

— Emilu, słabym rzekł głosem, czas mój minął, ja nie chcę być sędzią w tej sprawie, — ty rozsądź.

Drżącą ręką podał młodzieńcowi rewers — Marta spojrzała na niego błagająco, tak że zadrżał.

— Panno Marto, rzekł po krótkim namyśle, tu przy łożu umierającego mego ojca, w tej świętej chwili, w której ustąpić musi wszelki fałsz i obłuda, pozwól pani, że pani wyznam: miłowałem panią najczystszą miłością. Byłaś pani wyższą odemnie — nie odpychałaś mię od siebie. Pośród przepychu który cię jakoby najwspanialszych kwiatów urokiem otaczał, nie gardziłaś skromnym fiołkiem, który się tam pojawił — ale nadszedł dzień, który mię zbudził z tego snu błogiego. Liścik pisany do hrabiego Hallenburga, którego już dawno pani zaszczycałaś swemi względami, jak mi brat pani powiadał, wpadł przez pomyłkę służącej pani w moje ręce. Wtenczas zakrwawiło mi się serce, tak jak serce ojca, i to w tej samej chwili, w której widział szczęście całego życia swego zwichnięte przez ojca pani. Na cóż mi teraz majątek? Ojciec mnie pozostawia rozsądzenie tej sprawy—dobrze — serce moje tak ją rozsądza."

To mówiąc, rozdarł złowrogi rewers w kawałki.

„Dzielny chłopiec!" mruknął major, „niech mu Pan Bóg błogosławi!"

Bankier zerwał się.

„Swiadczę się Bogiem, że pana oszukano," rzekł do Emila; „tu musiała zachodzić jaka intryga, oszukaństwo. Nigdy Marta nie była hrabiemu przychylną, a ja ze wstydem z domu go wyprosiłem; wiem to i wiedziałem dawno, że pan, panie Emilu, byłeś jedynym przedmiotem miłości mej córki. Marto, powiedz sama pisałaś ty do hrabiego Hallenburga?"

„Emilu, ojciec ma racyą," rzekła Marta przystępując do młodzieńca; „byliśmy ofiarą oszukaństwa. Wszakże i pan zapewne nie zwróciłeś mi mego listu, w którym prosiłam o wytłumaczenie tych słów, któremi w biórze ojca tak boleśnie zraniłaś moje serce? — Emilu, ja się domyślam, kto nas sobie obrał za przedmiot niegodnej igraszki; — — brat mój umie doskonale naśladować cudze pisma, a Zosia służąca moja, lubi złoto i łatwo daje się przekupić."

Bankier uchwycił dwóch młodych ludzi za ręce i zaprowadził ich do łoża umierającego, którego oddech stawał się z każdą chwilą słabszym.

„Ojcze, pobłogosław twoje dzieci," rzekł do niego, — „dla nich proszę o błogosławieństwo, dla siebie — o przebaczenie."

Gerhard, wspierany przez majora, podniósł się w łóżku, oblicze jego rozpromienione były radością i spokojem wewnętrznym. Emil i Marta przyklękli przy łożu, umierający włożył na nich ręce.

„Błogosławieństwo wam—przebaczenie wszystkim — jestem szczęśliwym!"

Te były ostatnie słowa starego Tomasza Gerharda.

Promień słonka porannego, który nazajutrz zajrzał do izby, oblał światłem oblicze zmarłego, spokojne i uśmiechnięte, jak gdyby świadczyło o pokoju i szczęściu.

* * *

Daremnie wypytujesz się dziś w stolicy o firmę Bogumiła Kirstnera — firma ta już nie istnieje. Piękna jego kamienica zamieniona jest na hotel pierwszorzędny, a zamiast eleganckiej młodzieży handlowej, uwijają się w pięknych salach kelnerzy, w czarnych frakach i ufryzowanych włosach.

Dawniejszy właściciel banku mieszka ze swą małżonką zdala od świata w samotnej willi daleko za miastem. Pycha pani Kirstner zupełnie jest złamaną, mianowicie zaś zmieniła się od czasu, gdy syn jej, porucznik Edward, padł w pojedynku, do którego sam lekkomyślnie był powodem.

A daleko, nad uroczym Renem, na wsi wśród czarującej okolicy, żyje szczęśliwa para, otoczona gronem miłej dziatwy, na którą z upodobaniem i rozkoszą patrzy dziad, gdy corocznie wyrywa się ze samotności, aby kilka szczęśliwych chwil przepędzić w gronie dzieci i wnuków.

Razem z ojcem przebaczył też i Emil swemu teściowi, i najmniejszego nie ma żalu lub niezaufania do tego, którego nieszczęśliwy węzeł małżeński w słabej chwili doprowadził do występku. Stary Kirstner też czuje się szczęśliwym, już go nie niepokoi zmorą nieczyste sumienie, tylko od czasu do czasu budzi się w sercu żal i skrucha na wspomnienie tej czarnej plamy, która tak zeszpeciła nieskalany jego i pracowity żywot.

KONIEC.

ANUSIA ŻEBRACZKA.

POWIEŚĆ.

I.

Było to w zimnym, ponurym dniu jesiennym; niebo pokryte było całe czarnemi, ołowianemi obłokami, a wiatr zamiatał po ulicach. Brama wielkiego, pięknego domu w M. na oścież była otworzona, a przed nią stał wóz z meblami do połowy już wypróżniony.

— Kto to się tu do nas wprowadza? — zapytała jedna ze służących domu

— Pan radca sądowy Wollheim, który tu dotąd został przesadzony! — odpowiedziała żona stróża domu, stojąca w poczuciu swej godności w dumnej postawie w sieni i wydająca rozkazy uwijającym się tragarzom.

Chłopiec w dziesiątym roku siedział sobie w sieni na krześle, które jeszcze na miejscu przeznaczenia nie zostało ustawione, i na pół zdziwiony, na pół znudzony patrzył na ten rozbowor i ten nieład mebli, które zawsze w największym porządku w domu rodzicielskim zwykł był widywać. Chłopcem tym był Augustyn Wollheim, — radców Gucio, jak go zwykle nazywano w miasteczku, z którego rodzice jego tu się sprowadzili. Gucio czuł się dziś bardzo osamotnionym. Wczoraj jeszcze otaczało go na rynku miasteczka wesołe grono chłopców wśród wspólnej niczem nie zamąconej zabawy: dziś zaś siedział samotny w tym wielkim, pustym domu i nie miał nikogo, z kimby się dało uczciwe słówko pomówić. Rodzice zajęci

byli odbieraniem i ustawianiem mebli; Gucio wszędzie był w drodze, wszędzie zawadzał, aż wreszcie popychany na wszystkie strony, w złym humorze wyszedł z pokojów i usiadł sobie w sieni.

— Żebyś mi nie wychodził na ulicę Guciu! Pamiętaj, abyś pozostał w sieni, albo też na podwórzu! — tak wołała na niego jeszcze matka gdy wychodził.

Wiatr ostry dmuchał przez otwartą bramę. Gucio zauważył, że pobyt w sieni niekoniecznie jest przyjemny. Od podwórza usłyszał wesołe głosy chłopców — czemprędzej zerwał się, aby ku nim pobiedz — okropne rozczarowanie! Co za różnica pomiędzy wielkim, drzewami obsadzonym placem, który na małem mieście nazywano podwórzem domowem, a tym ciasnym, wilgotnym, wysokiemi murami otoczonym lochem, który tu za podwórze uchodził!

Tuż obok tego miejsca, na którem stał, wznosił się mały, ponury domeczek, z szarymi murami i nizkiemi oknami. Guciowi zrobiło się dziwnie tęskno na sercu — była to szczera tęsknota za tem miejscem, które był opuścił. Daremnie oglądał się za tymi, od których pochodziły te głosy, co go tu zwabiły. Żadnego nie było widać chłopca, tylko małe, pięcioletnie dziewczątko siedziało skulone na kamiennych schodach, wiodących do ponurego domku, i wielkie swe czarne oczy miała w niego wlepione, było to skrajne przeciwieństwo — pięknie ubrany, rumiany chłopczyk z jasnym kędzierzawym włosem, uśmiechającemi się niebieskiemi oczami i ogorzałą nieco twarzą, a naprzeciwko niego to blade dziecię nędzy, które na niego spoglądało z podziwieniem ale bez zazdrości, i okryte lekką, ubogą odzieżą, drżało z zimna w ponurym dniu jesiennym.

Gucio wydobył z kieszeni duże jabłko czerwone i zaczął smacznie zajadać. Podczas jedzenia przypatrywał się wciąż dziewczynce, której wzrok zwrócony był na piękne jabłko w jego ręku, ale ani słowem, ani gestem nie zdradziła, iżby chętnie podobnych skosztować chciała łakoci.

Zajadając, zbliżał się Gucio zwolna do niej, a gdy już jabłko do połowy zjadł, stał tuż przed nią. W duszy jego wielkie powstało postanowienie. Zwolna sięgnął do kieszeni i wyjął drugie jabłko, piękniejsze jeszcze jak pierwsze. Raz jeszcze spojrzał na nie z żalem, a potem je oddał dziewczynce.

— Na jedz! Te jabłka są z naszego ogrodu.

Dziewczynka już wyciągnęła rękę, ale ją znowu cofnęła. Gucio spojrzał na nią zdziwiony.

— Weź przecie! Czy nie masz apetytu?

Z temi słowy rzucił jej jabłko na łono, a dziewczę zaczęło je pieścić wychudłemi swemi rączkami.

— A czemu ty go sam nie chcesz zjeść?

— Czemu? No, bo ja myślałem, że ty je masz dostać! Ależ jedz przecież! Tu masz też trochę chleba z masłem!

Dziewczynka zaczęła zajadać i przypatrywała się mu z uśmiechem.

— Czemu nie idziesz do izby? Przecież ci musi być zimno tu na dworze!

— Nie mogę! Babusia drzwi zamknęła na klucz i dopiero wieczorem powróci.

— Ty pewnie jesteś bardzo biedna, zauważył Gucio zamyślony, bo nie masz ani trzewiczków, ani pończoszek!

— Tak, babusia powiada, że jesteśmy bardzo biedni. Ty pewnie zawsze masz takie dobre jabłuszka?

— Tak, a czasem jeszcze coś innego, co daleko lepiej smakuje. A jak się ty nazywasz?

— Anusia.

— I jak jeszcze?

— Inaczej już nie!

— Ba! Przecież musisz się też jakoś nazywać! Ja bo się nazywam Augustyn Wollheim, a mój ojciec jest radcą!

W czasie tej rozmowy zbliżyli się dwaj chłopcy, którzy dotąd bawili się pod szopą; ujrzawszy obcego zupełnie chłopca przed sobą, stanęli zadziwieni. Obaj musieli być braćmi, bo okrągłe ich twarzyczki były do siebie podobne jak dwie krople wody, a obie główki pokryte były najeżonym, jasnym, prawie białym, gęstym włosem. Zdziwienie to jednakże nie długo trwało; po kilku chwilach przystąpili hardo i wyzywająco, a jeden z nich zapytał:

— Czy ty też należysz do tego domu?

— Tak! — odpowiedział Gucio, podrażniony już tem pytaniem, — myśmy się dziś wprowadzili!

— Aha, toś ty ten mały łyk! Tak, myśmy już o tem słyszeli!

Gucio spojrzał groźnie.

— Ja nie jestem łykiem! Mój tata jest radcą!

Obaj bracia zaczęli się śmiać i szydzili:

— A, panie radco! Dobry wieczór, panie radco!

Teraz już Guciowi tego było zanadto. Jednym susem przyskoczył do niegościnnyh chłopaków, a za chwilę najpiękniejsza powstała bijatyka. Bracia byli mniej więcej w tym samym wieku, co Gucio; ten jednakże silniejszy był od każdego z nich z osobna, ale przeciwko dwom wydołać niemógł, i dla tego z nim było już kuso, gdy Anusia, która z trwogą tej bijatyce się przypatrywała, przyskoczyła z kocią zwinnością. W okamgnieniu wpoiły się jej rączki w gęsty włos jednego z braci i tak się mocno przyczepiły, że ten wszelką stracił ochotę do dalszej walki i tylko nad tem myślał, aby się pozbyć tego nie miłego brzemienia. Uwolniony od jednego nieprzyjaciela, pokonał Gucio łatwo drugiego, powalił go o ziemię i jako zwycięzca wyszedł z tej walki, w której cotylko miał uledz.

W tem odezwał się głos niewieści z okna drugiego piętra:

— Jasiu, Edwardzie, jak nie będziecie grzecznymi, to zaraz przyjdziecie do izby!

Na te słowa cofnęli się bracia po przegranej bitwie do szopy, gdzie poprzednio się bawili, a siedząc u drzwi, robili sobie uwagi:

— Tak, to on trzyma z Anusią żebraczką! Sam sobie rady dać nie może! Zobaczysz, że niezadługo zawoła pana radcę!

Temi, i podobnemi złośliwemi uwagami wynagrodzić sobie chcieli bracia poniesioną klęskę.

W sercu Gucia rozmaite z sobą walczyły uczucia. Miał on niezgorszą ochotę, rzucić się raz jeszcze na swoich szydzących przeciwników; jednakże nasamprzód miał sobie za ubliżenie, uważać na ich głupie gadanie; a powtóre ujrzał, patrząc przypadkowo w górę, ojca swego przy oknie, skutkiem czego ochota w nim do walki ostygła. Nie cieszył się też bardzo ze swego zwycięztwa, dla tego, że je tylko odniósł przy pomocy małej dziewczynki. Nie mógł się zdobyć na to, aby jej powiedzieć słówko uznania lub podziękowania, a jednak czuł, że jej w jakiś sposób wdzięczność swą koniecznie okazać powinien. Wtem przyszła mu myśl.

Pobiegł do sieni, zebrał z leżącej tam słomy od zapakowanych membli tyle, ile tylko unieść zdołał i złożył ją u nóg dziewczynki.

— Postaw nogi na słomę, zamiast na zimne kamienie, to ci będzie cieplej — rzekł krótko i usiadł przy niej.

Biedne dziecko z przyjemnością otuliło nogi w słomę i przysunęło też część słomy Guciowi, ale ten z dumą ją odepchnął.

— Przecież ja mam buty!

Ponure powietrze skróciło znacznie dzień jesienny, rychło zaczęło się ściemniać. Ostatni mebel już dawno został ustawiony w domu radcy; żona stróża umiotła sień i zamknęła bramę domu; bracia z pod szopy wezwani przez matkę udali się do domu; Gucio także siedział z rodzicami przy wieczerzy; tylko biedna dziewczynka, którą z taką wzgardą chłopcy nazywali Anusią żebraczką, siedziała jeszcze skulona na schodach i z tęsknotą spoglądała to na bramę, którędy babunia nadejść miała, to do góry do oświeconych okien, które jej Gucio wskazał jako mieszkanie rodziców.

Było tak zimno, tak ciemno. Babusia tak długo nie wracała. Biedaczka patrzała ku oknom, które tak jasno świeciły wśród ciemnego wieczora, tak że ostatecznie powieki jej się kleić zaczęły, a ona usnęła na twardych, zimnych kamieniach.

II.

Szorstkie zbudziło ją wstrząśnienie — przed nią stała babusia.

— Wstań i namknij się. abym przejść mogła! Co ci się pszyśniło, aby tu spać! — mruczała; jednakże szorstkość starej zdawała się być skutkiem mrukliwego jej usposobienia, a nie pochodzić z niechęci ku dziecku.

Anusia się zerwała, a babka otworzyła drzwi i weszła do izby wygadując na mno.

Niezadługo rozległ się w izbie trzask ognia we wielkim piecu kaflanym, do którego Antosia przysunęła sobie stołeczek. Wytężony swój wzrok miała zwrócony w płomień, podczas gdy przyjemne ciepło rozgrzewało stężałe jej członki.

— Babusiu, ten nowy chłopiec z dużego domu podarował mi dziś jabłuszko, piękne duże jabłuszko! — odezwała się wreszcie wpatrując w gotujące się przy ogniu kartofle.

— Tak! — mruknęła stara, kobieta krzepka jeszcze i silna, z głęboko pooraną twarzą; — tak, ci mogą wiele darować, co mają wszystkiego poddostatkiem!

Anusia zamilkła; bolało ją to, że się babusia porówno z nią nie radowała z uprzejmości tego dobrego chłopca. Stara była mrukliwa i milcząca; w milczeniu też zjedzono wieczerzę, która dla Anusi była zarazem objadem, potem Anusia zmówiła krótki paciorek i położyła się do swojego łóżeczka.

Stara po chwili spojrzała ku łóżku.

— Taki mieć zdrowy sen! - zauważyła sama do siebie. — To zaledwie głowę położy na poduszkę i oczy zamknie, a już śpi!

Westchnęła głęboko, przysunęła bliżej małą lampkę i przysiadła do stołu, aby sporządzić sukienkę wnuczki. Kopcące światło lampki smutnie rozjaśniało małą izdebkę.

Na ścianach były duże ciemne plamy od wilgoci, a kilka obrazów świętych na ścianach były czarne do niepoznania. Łóżko, łóżeczko, dwie stare szafy, stół, kilka krzeseł i śragany z pospolitemi statkami kuchennemi, tworzyły całe umeblowanie izby, czyste jednakże i schludnie utrzymywane.

Ciszę przerywało lekkie stukanie do drzwi, a gdy te się na zaproszenie starej otworzyły, zjawiła się na progu wysoka, chuda niewiasta, która z wolna i z cicha jak upiór do stołu się zbliżała. W jednej ręce trzymała lichtarz ze świecą, w drugiej dzbanek z piwem, a pod pachą miała pończochę i kłębek wełny; głos jej podobny był do cichego szelestu.

— Dobry wieczór, pani Schreiber; pani pozwolisz, że się nieco do pani przysiądę. Wiatr dziś tak straszliwie gwiżdże do mojego poddasza, że mię aż dreszcz przechodził.

To powiedziawszy przystawiła sobie krzesło do stołu i podała starej dzbanek z piwem, która dwa kubki przyniosła i nalała.

— Proszę, panno Kordulo, — mruknęła stara, ja się zawsze cieszę, jak panna Kordula przychodzi. Przez dzień cały nieraz nie spotykam się z żywą duszą, więc tedy człek rad, że przynajmniej wieczorem ma kogoś, przed którym się może wygadać i wymruczeć, mianowicie gdy ktoś człeka zna i szorstkością się moją nie obrazi.

Panna Kordula z wielkim zajęciem zaczęła robić pończochę i szepnęła z cicha:

— Jakie też to dziś zimne i brzydkie powietrze! Ja drżałam od zimna w swojej budzie i byłam rada, gdy wieczór nadszedł.

Panna Kordula miała od śmierci swego państwa, któremu przez lat trzydzieści wiernie służyła i zawdzięczała skromny zapis na utrzymanie do śmierci, małą budę z desek niadaleko cmentarza i w niej sprzedawała kwiaty i wieńce, co dla skromnych jej wymagań i potrzeb dość znaczny zysk przynosiło.

— W pralni u kapitanów także zaledwie wytrzymać było można, — odpowiedziała stara. — Służąca tam wczoraj stłukła szybę w oknie, więc straszny był przewiew. Około Bożego Narodzenia nie zmarzłam tak jak dzisiaj.

— Biedne dziecko, Anusia, także dzień cały na dworze siedzieć musiało! Nie byłoby to lepiej, pani Schreiber, gdybyś pani izbę zostawiła otwartą?

— Jeszcze czego! Aby mi może co zapaliła, albo inną jaką psotę wyrządziła! Dosyć już mam strachu, gdy w czasie deszczu zostawić ją muszę w izbie. Mnie samej bolesno, że ona marznie, ale lepiej, że się zawczasu do znoszenia zimna i głodu przyzwyczai. Życie jej tak samo się nie będzie uśmiechało, jak mnie, a ja to podwójnie odczuwam, bo w młodości mojej lepszych zaznałem czasów!

Panna Kordula już dawno była ciekawą dowiedzieć się czego o rodzinnych sto-

sunkach swej sąsiadki, dla tego korzystała z nadarzającej się sposobności i zapytała.

Pani Schreiber nie dała się długo prosić.

— Chętnie to pannie opowiem; może i pannie, chociaż starej, przyda się nauczka z tej historyi. Ojciec mój był dość miennym stolarzem. Po jego śmierci brat mój objął jego interes, a matka przy nim pozostała. Ja poszukałam sobie służby jako panny pokojowej u wielkiego państwa i bardzo dobre miałam miejsce. Przez dziesięć lat pozostawałam w tych korzystnych warunkach; gdybym wtenczas nie była poznała pewnego mężczyzny, byłabym może dziś jeszcze u tego państwa i nie potrzebowałabym się tak biedolić i mozolić, jak dzisiaj. Miałam wtenczas blizko lat trzydzieści, gdy trupa aktorów przybyła do miasta, w którem wówczas mieszkaliśmy. Było to w A., jeżeli panna to miasto nieszczęsne znasz. Miałam tyle wolności i pieniędzy, że mogłam raz poraz pójść do teatru, a niezadługo tak sobie w tem upodobałam, że gdy moi państwo wyjechali i ja wszystek czas miałam wolny, codziennie w teatrze bywałam i ani jednego przedstawienia nie opuściłam. Nie tylko same przedstawienia przyciągały mię do teatru; było mi już prawie rzeczą obojętną, co grano, bo tylko patrzałam na jednego, — był to piękny mężczyzna, z dużemi, czarnemi oczami, w którym tak się zagapiłam, że zapomniałam o wszystkiem innem, Krótko mówiąc, poznałam go także po za teatrem, a za pół roku zostałam jego żoną i włóczyłam się z nim po świecie. Przyznam się, że w tem koczującem życiu nie czułam się nieszczęśliwą, mianowicie że mąż mój nie był podobnym do ogółu komedyantów, ale był uczciwym i statecznym. Całe nieszczęście na tem polegało, że jako dziecko aktorów, rodziców lekkomyślnych, wyrósł i wychował się przy teatrze, nie nauczył się żadnego rzetelnego rzemiosła i zanadto już przywykł do tego koczującego życia, aby od niego mógł odwyknąć.

— Z sześciu dzieci jedna nam tylko pozostała dziewczynka, piękna, mądra i delikatna, niby księżniczka. Już jako małe dziecko umiała wszystko powtarzać i naśladować, co na scenie widziała; mąż zawsze zaręczał, że w niej wielki talent ukryty, a troskliwie wypielęgnowany, wykierowałby ją na ozdobę każdego nadwornego teatru.

— Ja wniosłam niezgorszy majątczek do naszego małżeństwa, ale ten coraz się zmniejszał, a gdy wykształcenie mojej Tekli zostało ukończone, mało tylko z tego majątku pozostała resztka. Ale też dziecię najzupełniej odpowiadało oczekiwaniom. Już cieszyliśmy się nadzieją bliskiego spełnienia się wielkich naszych widoków i planów, gdy mąż zachorował, rok przeszło cały leżał sparaliżowany i umarł krótko potem, gdy Tekla korzystne otrzymała miejsce przy mniejszym nadwornym teatrze, gdzie od razu zasłynęła pięknością i talentem.

— Mogę spokojnie umierać, mówił mąż do mnie krótko przed śmiercią, przyszłość wasza zapewniona, bo z naszej Tekli będzie pierwszorzędna artystka.

— Nie przeczuwał biedak, że to co uważał za największe nasze szczęście, będzie właśnie źródłem największej niedoli. Powiedziałam już, panno Kordulo, że moja córka słynęła z piękności, to też nic dziwnego, że niejeden wielki pan w stolicy starał się o jej względy, ale Tekla była równie cnotliwą, jak piękną, i wszystkich adoratów swoich trzymała z daleka. Wtem zaszedł jej drogę człowiek, do którego jej serce ślepo się przywiązało, bo młodzieniec na seryo chciał ją pojąć za żonę. Błagałam i zaklinałam, ojciec młodego panicza fukał, groził i pienił się ze złości, ale wszystko to nic nie pomogło. Młody baron Bittenfels postawił na swojem, zaprowadził Teklę do ołtarza, i tak córka moja została prawą żoną barona, baronową Bittenfels. Młody baron nie wierzył temu, aby ojciec wykonał swą groźbę, że go na zawsze od siebie odepchnie, ale ostatecznie z bólem serca uwierzyć w to musiał. Bez fenyga pieniędzy wypędzono go z domu rodzicielskiego. ponieważ i u wielkich panów tu nie rzadką jest rzeczą, że niczego się nie nauczą, czem by na chleb zapracować umieli, przeto młody baron Bittenfels nie widział przed sobą innej drogi, tylko teatr. Wskutek

storyi po roku już nie zatrzymano mej
rki przy nadwornym teatrza, a dzięki
zległym znajomościom i wpływom stare-
barona, nie znalazła też miejsca przy
dnym większym teatrze. Młodzi ludzie
usieli być kontenci, że w podrzędniejszym
atrze znaleźli miejsce za bardzo skrom-
m wynagrodzeniem. Ja się wyprowadzi-
m z nimi i prasowaniem i szyciem zara-
ałam na życie, bo bieda była w domu, a
uga choroba mojego męża zjadła mój ma-
teczek do szczętu.

— Tak minęło kilka lat smutnych i
łnych trosk i zgryzoty. Jedyną pociechą
a mnie było, że Bittenfels nie dawał
iecku memu poczuć, iż to dla niej pozba-
ił się majątku ojcowskiego i przyjemne
cie i świetną przyszłość zamienił na nie-
statek i nędzę. Byłoby to zresztą i nie-
rawiedliwością, bo biedna Tekla tak sa-
o jak on przyszłość swoją zwichnęła; a-
ć to się bardzo często zdarza.

— Pomiędzy rozlicznemi powodami,
la których córkę odwieść chciałam od te-
nierozsądnego małżeństwa, był i ten, że
ważałem, iż Bittenfels cierpiący jest na
łuca, a następne lata potwierdziły niestе-
moje obawy. Oboje nie mieli dosyć sił,
by długo znieść takie życie, na jakie byli
kazani. Narodzenie tej Anusi przypłaciła
j matka życiem; jedno dziecko już przed
ią umarło. Bittenfels strasznie sobie wziął
o serca śmierć małżonki, a zgryzota nie
ało się przyczyniła do pogorszenia jego
horoby. Wyobraź sobie pani moje położe-
ie, panno Kordulo! Tekla umarła, mój
ięć chory, bez utrzymania, a nadto drobne
ziecиątko, a ja sama, aby wszystkich wy-
wić! Ja już doprawdy nie wiedziałam
bie rady. Bittenfels pisał był kilkakrot-
ie do swego ojca, ale nigdy nie odebrał
dpowiedzi. W tym czasie nową zrobił pró-
ę i zakołatał do ojcowskiego serca, a ku
ielkiemu naszemu zdziwieniu nadeszła od-
owiedź tego nieczułego człowieka. Usły-
ał on był o niebezpiecznej chorobie swego
na, więc teraz, gdy śmierć rozłączyła sy-
od małżonki, której ojciec tak strasznie
enawidził, oświadczył mu, że gotów jest
przebaczyć i przyjąć go do domu, ale
d warunkiem, że ani mię ani dziecka
swego nie weźmie ze sobą, i że z przesz-
łością swoją zupełnie zerwie. Ten warunek
był twardy, ale nędza nasza była straszna,
a ja z wytężeniem wszystkich moich sił nie
zdołałam zapracować na nasze wyżywienie;
jakkolwiek mi więc bardzo było bolesno, —
bo Bittenfels zawsze dobrym dla mnie był
synem, — musiałam namawiać go, ile tyl-
ko zdołałam, aby na warunki ojca przystał.
Okropnie trudną rzeczą było dla tego do-
brego i zacnego człowieka, rozstawać się z
nami; ale złamany na ciele i duchu, nie
miał już siły w czemkolwiek się opierać;
tak więc powrócił do swego ojca, a ja spro-
wadziłam się z tą sierotą tudotąd, gdzie
ciężką pracą zarabiam na kawałek chleba.

— Teraz znasz, panno Kordulo, całą
historyą. Jest ona dosyć prosta, a mimo to
dość dziwna. Najgorzej ja na tej całej spra-
wie wyszłam, bo teraz trzeba stare gnaci-
ska brać w kupę, aby na życie dwóch osób
zapracować. Prawda, że to nie jest wielką
rozkoszą, aleć zmienić się nieda; każdy mu-
si wypić to piwo, jakiego sobie nawarzył.

Panna Lordula słuchała tak pilnie, aż
jej pończocha wypadła z ręki; teraz znowu
podjęła robotę.

— Ej, pani Schreiber, — rzekła, — a
toć to pani dziwne przeszła koleje! Już ja
to nieraz sobie myślałam, skąd się wzięła
u Anusi ta wielka delikatność, że ona po-
chodzić musi z wysokiego rodu. Patrzcie,
patrzcie, ta Anusia, to baronówna Bitten-
fels! No, kto wie, jakie z tej strony szczęś-
cie tę dziewczynkę jeszcze czeka!

— Tak, wzgarda i hańba! — zawołała
stara rozjątrzona; — ten nadęty ród wypę-
dziłby ją z domu swego jak żebraczkę, jak
psa, gdyby się odważyła kiedy, do ich drzwi
zakołatać. Czy pani myślisz, panno Kordu-
lo, że ten stary magnat bez serca, który je-
dynego syna swego mógł popchnąć w nie-
dolę i nędzę, dla tego tylko, że nie wziął
żony po jego myśli, teraz by się o nią trosz-
czył, o tę znienawidzoną wnuczkę? Ja lepiej
się znam na ludziach. Prawda, że są wyjąt-
ki, ale nie bardzo liczne!

Wśród tej gawędzi późna nadeszła go-
dzina. Panna Kordula rozlała jeszcze reszt-
kę piwa, napiła się poraz ostatni ze sąsiad-
ką, a potem w rozrzewnionem prawie uspo-

sobieniu udała się do swojego poddasza. Poczciwej, starej kobiecinie, która tylko w niewielu magnackich domach służyła i tytuły i godności w wielkiem miała poszanowaniu, nie mogło się w głowie pomieścić, aby ta mała Anusia, która przecież była prawdziwą i prawowitą baronówną, bosemi nóżkami na zimnych miała siedzieć kamieniach; więc tedy mocno sobie postanowiła, że nazajutrz tej małej baronównie kupi przynajmniej trzewiczki i pończoszki; na coś więcej biedna kobiecina też się już zdobyć nie mogła.

III.

Ku największemu swemu zmartwieniu dostał się Gucio w szkole do jednej klasy razem z dwoma jasnowłosemi braćmi, którzy go w dniu jego przybycia tak niegościnnie byli przywitali; jednakże początkowa ta nienawiść i nieprzyjaźń długo trwać nie miała. Obie strony respektowały się nawzajem, a ostatecznie musiał Gucio przyznać, że ci zrazu nieprzychylni mu bracia wcale dzielnymi towarzyszami być umieli, skoro tylko chcieli. Byli to synowie mieszkającego w tym samym domu lekarza, Dra. Fichtnera; i Gucia rodzice, którzy poznali tych malców jako chłopców dobrych, chociaż może nieco dzikich, chętnie widzieli, że Gucio się z nimi wdawał i w ten sposób wzajemna nieufność w krótkim czasie znikła. W jednym tylko punkcie była pomiędzy nimi niezgoda, pod jednym tylko względem porozumieć się nie mogli — gdy chodziło o małą Anusię, Gucio stanowczo oświadczył, że nie wolno jej żadnego płatać figla, nie wolno jej drażnić lub łżyć, a najmniej straszyć, co wszystko było największą przyjemnością braci przed przybyciem Gucia. Ten jednakże skoro tylko coś podobnego dostrzegł, natychmiast groźną przybierał postawę, które w walkach z chłopakami w małem miasteczku niepospolitej nabrały siły, zmuszały przeciwników do niejednego ustępstwa; nadto była też dobrze w zabawki zaopatrzona szafka Gucia dla mniej obdarzonych chłopców magnesem, który ich przyciągał i przekonywał, że z właścicielem tylu pięknych rzeczy głupstwem byłoby zrywać dla głupiego, małego dziewczęcia.

Radczyni Wollheim zwróciła swą uwagę na dziewczynkę, a poznawszy ją nieco brała ją nieraz z babką do swego mieszkania i hojnie obdarzała uczciwą a biedną staruszkę. Ta przyjmowała te dobrodziejstwa po swojemu, nie okazując z nich wielkiej radości, podczas gdy wnuczka wdzięcznem sercem dziecięcą miłością do szlachetnej przywiązała się pani.

Gucio zbliżał się do Anusi z miną łaskawego protektora; zanosił jej często część swego podwieczorku i surowo jej nakazał aby mu natychmiast powiedziała, gdyby ktoś jej krzywdę jaką wyrządził, lub z niej szydził. Pokazywał jej też wszystkie swoje zabawki; czasem jej też przeczytał jaką powiastkę, która się jemu podobała, a w końcu, wskazując na bohatera powiastki, dodawał zawsze z dumą:

— Widzisz Anusiu, takim ja też kiedyś będę!

Jesień z czasem ustąpiła miejsca zimie i zbliżyła się Gwiazdka.

Gucio nie posiadał się z radości, gdy stanął przed rzęsiście oświetlonem drzewkiem, i ujrzał te liczne piękne rzeczy, któremi go miłość rodzicielska obdarzyła, naraz jednakże zamilkł i zamyślił się; wilgotnym połyskiem zajaśniało jego oko; gdy błagająco spojrzał na matkę i tuląc się do niej rzekł z cicha:

— Mamo, biedna Anusia zapewne nic nie dostała! Czy mogę jej dać coś z mojego?

Szlachetna pani nie zapomniała o biednej sierocie, bo dary dla niej były przygotowane; ale jakże się uradowało macierzyńskie jej serce, gdy odebrała taki dowód czułego i dobrego serca jedynego swego ukochanego dziecka! To też czule przytuliła syna do piersi i rzekła:

— Owszem, mój Guciu! Podarunki dla Anusi są przygotowane; zanieś je sam, to jeszcze więcej się ucieszy!

— Mamo, ja jej powiem, że to jej Gwiazdka sama przyniosła! Anusia z pewnością będzie temu wierzyła!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

W. BOGUSŁAWSKI.

CUD

CZYLI

KRAKOWIACY I GÓRALE

W TRZECH ODSŁONACH.

(Ciąg dalszy).

Basia.

Ale bo WPan nie wies, o co mi tu chodzi,
Więc mu się psyznać musę, mój Panie skubencie
Poradź mi, bom jest biedną, gryzę się pseklęcie,
Dociekłam wej, ze w Stachu kocha się młynarka,
A ze to jest psemyślna i zdradna figlarka,
Mozeby mi się kiedy chłopak zbałamucił.
Otós widząc, ze z nami nie mas go u tsody,
Myślałam, ze sam jeden na pole powrócił,
Azeby się z Dorotą poumizgał wpsódy,
I dla tegom tak biegła.

Bardos.

On tu ze mną bawił.

Basia.

Chyba ze tak.

Bardos.

Ustawnie mi o tobie prawił,
Dziękował mi, żem gładko odsadził Bryndusa.

Basia.

On ci mnie kocha, ale nie śpi wej pokusa,
Mógłby mnie zdradzić kiedy.

Bardos.

A gdyby tak było
Żeby się Stach chciał czasem poumizgać do niej,
Cóżbyć wtenczas robiła?

Basia.

Niechze Pan Bóg broni,
Dopieroby się piekło w domu otwozyło.

Bardos.

Toś ty tak zła?

Basia.

Kiej mnie kto zdradzać chce, niech lepi
Samego djabła z piekła, niźli mnie zacepi.

ŚPIEWKA.

Jestem dobra, jak baranek,
Jestem słodka, jak cukierek,
Kiej mnie nie zdradza kochanek,
Kiej nie chodzi do fryjerek.
Lec kiejbym tego dociekła,
Ze mnie Stasio osukuje,
Ze zdrajca inną całuje,
Stałabym się jędzą z piekła.
Jejbym warkoce wyrwała,
A samego wałkiem sprała,
Jakbym tłukła, takbym biła,
Azbym zdradzać oducyła.
Wiem ja, jak w mieście mężowie
Często zonom mydlą ocy,
"Moje zycie; moje zdrowie,
Ja cię kocham z całej mocy!"
A kiedy za dzwi wychodzi,
Juz o zonie ani wspomnie;
Oj! cemus mi się nie godzi
Wziąść ich na naukę do mnie.
Takbym.

Bardos.

Nie troszcz się, miła Basiu, ja tego dowiodę,

Że twój Stach zawsze wierny i stały dla ciebie.

Basia.

Bo tes i jabym za nim skocyła we wodę,
Scęśliwąbym była z nim choć o suchym chlebie.

Bardos.

Słuchajże, jak już z wami do wioski powrócę,
Uważaj wtenczas dobrze gdzie ja się obrócę,
I jak ci dam znak głową, zaraz przyjdziesz do mnie
Ja cię tak skryję dobrze, że sama dokładnie
Zobaczysz jak Dorota Stasia nęci zdradnie,
A on, jak ci jest wierny i jak żyje skromnie.

Basia.

Ach! prosę, bardzo prosę! dopiero scęśliwą
Będę.

Bardos.

Otoż i cała gromada przybywa.

SPRAWA VIII.

(Ciż, i wszyscy powracający od bydła.)

Bartłomiej.

Jest wsystko, ani jednej stuki nie brakuje.

Morgal.

Oddaliśmy Mospanie, co do jednej kozy.

Bryndus *(do Bartłomieja.)*

Niech wam się we dwójnasób to stado pomnozy.

Swistos.

Zycemy wsyscy tego.

Bartłomiej.

Dziękuję, dziękuję.

(Do Bardosa.)

I Wacpanu tes za to dzięki zanosiemy,
Ześ nas pogodził. Teras do domu wracamy,
I Waspana na gody z sobą zaprasamy.

Basia.

Stasiu, ja pójdę z tobą.

Stach *(bierze ją za rękę.)*

Razem se pójdziemy.

Wawrzeniec.

Bydło, prosto na pasą zapędzą pastuchy.
A, i wy tes sam Panu, skłońcie się, dziewuchy,
Dziękujcie za swe krówki, co tam takze były.

Basia.

Dziękuję z całej siły,
Ja za moję łysą.

(Kłania się.)

Zośka.

Ja za moję płową.

(Kłania się.)

Tę, co to razem lubi tryskać z Pawełkową.

Bardos.

Kłaniam.

Bartłomiej.

Ja się Waspanu psysłuzę, cem mogę.
Zupan dobry.

Wawrzeniec.

Ja capkę.

Stach.

Ja boty na drogę.

Jonek.

Ja pas.

Basia.

Ja płótna stukę.

Zosia.

Ja jajek pół kopy.

Miechodmuch.

A ja zaś kantyczkami.

Bryndus.

My piwem i miodem.

Bardos.

Dziękuję wam.

Wawrzeniec.

Więc idźwa.

(Ciąg dalszy nastąpi).